

Joanna Sędzikowska

# PSY Z PIEKŁA RODEM

*Zdobycza siriata*

*Raptorowi, mojemu najlepszemu  
przyjacielowi, druhowi i bratu,  
ulepionemu z kawałka mojej duszy...*



LITERATURA  
PIĘTRO WYŻEJ

Joanna Sędzikowska  
**Psy z piekła rodem – zdobywca świata**

© by Joanna Sędzikowska  
© by Wydawnictwo Literatura

Projekt okładki i wklejki ze zdjęciami:  
Justyna Fałek

Zdjęcie na okładce:  
Michał Sędzikowski

Korekta i skład: Lidia Kowalczyk,  
Aneta Kunowska, Joanna Pijewska

Wydanie II (rozszerzone)  
pierwsze w tej edycji

ISBN 978-83-7672-628-1

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl  
tel. (42) 630-23-81  
www.wydawnictwoliteratura.pl  
www.pietro-wyzej.pl

## Wstęp

Jak powiedział jeden z moich ulubionych bohaterów filmowych: „Ogry są jak cebula. Składają się z warstw. Rozumiesz, ośle?!”. Nie tylko ogry. Życie też jest jak cebula.

W tej książce znajdziesz, Drogi Czytelniku, jedną z jego warstw. Tę najlepszą! O PSACH!

Uwierz, że nie było zabawnie przechodzić przez to wszystko, z czego Ty zaraz będziesz się śmiał. Mimo to w tej części mojego życia nie zmieniłabym ani sekundy. Codziennie uczę się od moich psów: jak się nie bać drobiazgów, jak się cieszyć z rzeczy ważnych (na przykład pasztetowej w siatce na zakupy albo z pierwszego śniegu), jak przeżywać życie w czasie teraźniejszym, nie zamartwiając się na przyszłość, jak wykorzystywać każdą okazję do bycia szczęśliwym: tu, teraz, natychmiast. I jak nigdy, przenigdy, nie mieć wyrzutów sumienia z powodu rzeczy, które sprawiają przyjemność. Psy przywracają światu właściwe proporcje, aby wielkie były tylko te rzeczy, które naprawdę mają znaczenie, takie jak spacer w piękny letni dzień czy smakołyk w misce. A małe rzeczy pozostawiają małymi i nie zaprzatają sobie nimi głowy. To dzięki psom tak często się śmieję, a brzydka pogoda po chwili spaceru robi się nawet przyjemna, bo można iść przed siebie i zachwycać się światem. Nawet w deszczu.

One po prostu czynią moje życie SZCZĘŚLIWYM. Oddając Ci tę książkę, chcę się tym szczęściem z Tobą podzielić.

Zanim jednak zaczniesz czytać, pozwól, że przedstawię Ci pokrótce bohaterów tej książki – szpice północne, do których należą

między innymi husky syberyjski czy malamut alaskański. Wyhodowane przez Eskimosów (na Syberii i Alasce), miały w ludzkich osadach wszechstronne zastosowanie: od pilnowania dzieci, poprzez pilnowanie stad, transport dobytku po szerokich śnieżnych równinach, aż po wsparcie w polowaniu.

Rasy te, w celu wzmocnienia pożądaných cech, takich jak odwaga czy fizyczna wytrzymałość, długo były krzyżowane z wilkami. Zachowały więc wiele atawistycznych cech swoich protoplastów. W procesie hodowli Eskimosi wzmocniali ich niezależność i silną osobowość. Dlaczego? W czasie długich wędrówek po śnieżnych bezdrożach czoło psiego zaprzęgu znajdowało się często kilkanaście metrów przed ludzkim opiekunem. Psy musiały na bieżąco kontrolować bezpieczeństwo na trasie (na przykład oceniać jakość pokrywy śnieżnej czy lodu lub odległość od drapieżników) i jeśli przewodnik wydawał polecenia zagrażające życiu zaprzęgu i samego maszera (na przykład wejście na kruchy lód), musiały umieć mu się przeciwstawić. Od takiej asertywnej postawy często zależało życie zarówno psów, jak i ludzi. Paradoksalnie w naszym świecie to właśnie te cechy charakteru, w połączeniu z niezwykle urodą psów Północy i ich niespożytą energią, są przyczyną kłopotów wielu przedstawicieli tej grupy. Współpracując z Fundacją Adopcje Malamutów, patrzyłam na cierpienie czworonogów wynikające z braku doświadczenia i nieprzemyślanych decyzji ich właścicieli. Dlatego mam nadzieję, że oprócz dobrej zabawy ta książka będzie przestrogą dla tych wszystkich, którzy rozważają zakup szpica rasy pierwotnej, kierując się wyłącznie jego wyglądem. Przyjmując do rodziny jednego z tych pięknych psów, pamiętaj: to są psy z piekła rodem. W najlepszym tych słów znaczeniu!

## Część I

# Raptor

## Moja krew

– Ale wiesz, że nie kupisz psa? Chyba że po moim trupie – pytał mąż kontrolnie co sobotę, kiedy „zniecka” wpadałam na pomysł wyjazdu na bazar ze zwierzętami\*.

– Jasne. Nie chcę kupować. Chcę tylko popatrzeć. Niczego nie kupię, no chyba że będą mieli takie deseczki do drapania dla naszych kotów – zarzekałam się i święcie wierzyłam własnym słowom...

Bo przecież wcale nie chciałam psa. Miałam psy całe dzieciństwo i pamiętałam, jaki to obowiązek. Żyją długo i przez całe życie trzeba z nimi chodzić na spacer. A jak są małe, sikają w domu. Bywają nieposłuszne, aroganckie, agresywne, zaborcze, dominujące, szczekliwe, nieznośne, rozbrykane. I czasem jedzą świństwa. Albo się w nich tarzają. Ciągną na smyczy, zostawiają sierść na najlepszych ciuchach. I w talerzu. Żebrzą, kiedy jesz. I chrapią.

Mają same wady...

Prawie same. Bo z drugiej strony... Pachną najpiękniej na świecie. Możesz im powierzyć każdą tajemnicę i ta dalej pozosta-

---

\* Obecnie handel psami na bazarach jest zabroniony. Jednak pseudohodowle istnieją nadal. Kupując rasowego psa, pamiętaj, żeby zawsze sprawdzić jego pochodzenie – złóż wizytę u hodowcy, poproś go o pokazanie rodziców i rodzeństwa psa. Skontaktuj się z właścicielami innych psów z tej hodowli. W przypadku jakichkolwiek wątpliwości odnośnie warunków, w jakich przebywają zwierzęta, lub ich traktowania, zawiadom policję lub organizacje prozwierzęce.

nie tajemnicą. Pies wie, kiedy przytulić i kiedy odejść. Rozśmiesz, kiedy ci się wydaje, że do śmiechu daleko ci jak z Ziemi do Księżyca. Będzie trzymał z tobą sztamę przeciw całemu światu. I nigdy, ale to nigdy cię nie okłamie. Codziennie będzie cię witał w progu, jakbyś wrócił z Marsa. Przypomni ci, że nie ma takich zmartwień, które mogłyby popsuć ciepły, letni wieczór. I że kocha się za nic...

Ech... Więc nie chciałam psa...

Po kilku wizytach na bazarze mąż przestał wietrzyć podstęp. Kupowaliśmy prezenty kotom i oglądaliśmy małe yorki, labradory i bernardyny. Zachwycaliśmy się dalmatyńczykami, które nie miały jeszcze ani jednej kropki, i rozpływaliśmy się nad małymi wilczurkami z klapniętymi uszkami. Żadnego z nich nie zamierzałam kupować.

Jeden jedyny raz serce zabiło mi mocniej z powodu akity. Ale zaraz przypomniałam sobie, że miało nie być psa. Życzałam małej wspaniałych rodziców i odeszłam pokonana.

Tamtego dnia miało być tak samo.

I byłoby, gdyby nie dziewczyna mniej więcej w moim wieku. Stała na samym końcu bazaru z pudłem szczeniąt pod nogami. Każde z nich było jasnoszare, z piękną białą maską na pyszczku.

– To husky? – zapytałam jak znawca.

– Malamuty – odparła dziewczyna, a ja pomyślałam, że nic mi to nie mówi.

To był zimny dzień. Inne pieski zwijały się w kulki i starały jakoś przetrwać w stanie półhibernacji do końca tej wątpliwej imprezy. Ale nie te. Te ciekawie wystawiały łebki z pudła i bez lęku przyglądały się ludziom. Były inne: odważne, ciekawskie, radosne... Nie miały w sobie ani odrobiny nieśmiałości. Wyraźnie uważały wycieczkę na bazar w kartonowym pudle za superprzygodę.

Całymi sobą mówiły: *Jesteśmy Zdobywcami Świata*.

Mąż ciągnął mnie za rękaw do wyjścia, a ja wiedziałam, że mam kłopoty. Wielkie kłopoty... Bo tak, owszem, dokładnie tak

jak przed pięcioma minutami nie chciałam psa. Żadnego, oprócz jednego z tych odważnych maluchów.

– Zobacz, jakie fajne! – zagadnęłam z najsłodszym uśmiechem, jaki umiałam przykleić do twarzy, i z całkowitą nonszalancją. Jakby mi nie zależało.

– Fajne. Chodźmy, bo zimno – odpowiedział mąż.

Uznałam, że tej nonszalancji było może odrobinę za dużo i trzeba skorygować ton:

– Pani mówi, że to malamuty i że mają siedem tygodni – tym razem pozwoliłam sobie na nutkę zainteresowania w głosie.

– Mhmm, dobrze. Ale my nie chcemy psa. To idziemy?

Sprawa była stracona...

– Idź, ja cię dogonię, tylko jeszcze o coś zapytam.

Mąż odszedł, a ja zagadnęłam dziewczynę o tę egzotycznie brzmiącą rasę.

– Malamuty to szpice północne. Jedna z ras pierwotnych. Nie nadają się do sztuczek i na pewno nie da się ich wytrenować do obrony – odparła obojętnie. Widocznie uznała, że nie jestem potencjalnym klientem.

– A ile ważą dorosłe?

– Trzydzieści, czterdzieści kilogramów. Duże są i bardzo silne. Nie nadają się za bardzo do mieszkania. I trzeba uważać z małymi dziećmi, bo to ciężkie psy i dość... nieokrzesane.

W tym momencie nawet ja sama nie uznałam siebie za potencjalną klientkę. Nie umiałam sobie wyobrazić czterdziestokilogramowego psa w naszym mieszkaniu. W dodatku nie nadają się do dzieci, nie poddają się tresurze, nieokrzesane, grupa ras pierwotnych... To są jakieś prehistoryczne yeti!

– A do czego się nadają? – spytałam uprzejmie.

– Ciągną sanki – odparła dziewczyna.

Ciągną sanki??? Kto, u diabła, ciągnie sanki, kiedy mamy samochody dostawcze dowolnej marki i wielkości?! Bez sensu...

A jednak... ten niewidzialny napis: „Zdobywca Świata”... ta przygoda wpisana w spojrzenie... ta ciekawość i brak zahamowań...

Miały w duszy dokładnie to, co ja: szerokie stopy, wolność, podróż na własnych nogach, byle przed siebie, samotnie w dal, hen, po horyzont...

Poprosiłam tę dziewczynę o numer telefonu.

\* \* \*

– Nie. Nie będzie psa i kropka. Mieszkamy w wynajętym mieszkaniu. Dziecko jest jeszcze małe. Lubimy podróże. To nie jest dobry moment na psa. Nie chcę, żeby mi tu śmierdział. I kto będzie z nim wychodził? Ty pracujesz do nocy, a ja nie mam zamiaru – mąż wyglądał na tak zdeteterminowanego jak jeszcze nigdy w życiu.

Czyli nie będzie psa.

– Dziecko nie jest takie małe. Ja w jej wieku miałam psa. A podróże nie są problemem, istnieją przecież hotele dla psów. No i szukamy domu do kupienia, więc niebawem będą i dom, i ogród. Ale dobrze. Nikt nie kupi psa. Na to musi się zgodzić cała rodzina, inaczej się nie uda. Ale może pojedziemy chociaż zobaczyć? Co nam szkodzi?

– Nie. Ja się na psa nie zgadzam i kropka. Po co jeździć oglądać, jeśli i tak nie kupimy?!

No jasne. Po co?

Ale psy, które miały w oczach wolność i przygodę, nie opuszczały mojej głowy. Przeczytałam wszystko, co znalazłam na temat malamutów. Rzeczywiście, były nie dla mnie. Jak ryby z Tanganiki, które absolutnie nie nadawały się dla początkujących hodowców, a już na pewno nie powinny zasiedlać pierwszego w życiu młodego akwarysty akwarium. I które w moim pierwszym w życiu akwarium właśnie wychowywały młode...

Po dwóch dniach się poddałam. Byłam matką i żoną. Pies z przygodą wypisaną na pysku nie pasował do mojego życia. A mój mąż wyraźnie oczekiwał, że w wolnym czasie raczej pójdę

na kurs gotowania, niż będę się godzinami włóczyła z psem. Po błocie, w traperach i brudnej kurtce...

Nie chciało mi się z nikim gadać. Moje życie to praca, dom, mąż i dziecko... Więc pracowałam, sprawdzałam zeszyty i podawałam do stołu późną kolację. W wannie nie wiedziałam, czy po policzkach płyną mi łzy czy woda.

\* \* \*

– Dobra. Możemy jechać obejrzyć te psy, jak tak bardzo chcesz – mąż złagodził ton po kilku dniach. Wiedział, że takie milczenie nie jest do mnie podobne.

– Nie ma sensu. I tak go nie weźmiemy. Ty się przecież nigdy nie zgodzisz. Nie przejmuj się mną, w końcu zapomnę. Nigdzie nie chcę jechać.

Po kolejnych dwóch dniach mąż przyłapał mnie na niekontrolowanym chlipaniu w poduszkę. Poczułam, jak przytula moje drżące plecy. I trochę do mnie, a trochę do siebie wyszeptał w ciemności:

– Nie wiem, po co ci ten pies. To tylko kłopot. Nie ma żadnych zalet. Mamy przecież koty... Ale jak tak bardzo chcesz, to możemy pojechać go jeszcze raz zobaczyć. Może już nie będzie ci się tak podobał. No nie rycz. Przecież jak nie będzie innego wyjścia, to pomogę ci go wychować. Nie zostawię cię samej. Czy kiedykolwiek tak zrobiłem?

– Może mi się nie spodoba. Czasem tak jest – chlipnęłam na pocieszenie.

Ale potem dotarło do mnie, co właściwie powiedział mąż. I nie mogłam zapanować nad uśmiechem, który rozciągnął mi twarz od ucha do ucha. Dobrze, że było ciemno, bo mąż, widząc ten uśmiech, mógłby się poczuć zmanipulowany.

\* \* \*

– Dzień dobry. My do pieska. Umawiałam się z panią przez telefon.

Staliśmy w drzwiach malutkiego mieszkanka. Dziewczyna obrzuciła nas niechętnym, taksującym spojrzeniem, powoli uchylając drzwi. Wtedy nie rozumiałam, jak bardzo niedorzecznie wyglądaliśmy jako potencjalni nabywcy alaskańskiego malamuta: ja prosto z pracy, w szarej wełnianej garsonce i szpilkach oraz w płaszczu ze sztucznym lisem i w pełnym makijażu. Mąż w garniturze, kożuszkę i butach wypastowanych do połysku. Nasza córeczka miała czerwone spodnie i kurteczkę w takim samym kolorze. W nienagannie uczesanych włoskach tkwiły spinki z biedroneczkami, które, w połączeniu ze szczerbatym uśmiechem dodawały uroku jej ślicznej buźce.

W mieszkaniu panował bałagan. Dziewczynie towarzyszył młody chłopak, a w głębi było widać niemowlęce łóżeczko. Pod nogami płątał się nam licho wyglądający wilk, który okazał się matką szczeniaków. Właściciele psów wytłumaczyli, że suczka straciła sierść przez młode i pokazali nam zdjęcia „z jej czasów świetności”. Na wszystkich suczka ciągnęła sanki.

Potem pani domu poszła na balkon i wyciągnęła z pudła jedno ze szceniąt. Było milutkie, łąsiło się do rąk, lizało córkę po twarzy i wyglądało na zachwycone kontaktem. Mąż i córka dali się uwieść od razu.

Ale nie ja. Ja całą uwagę skupiałam na tym, co działo się na balkonie: tam z pudła ze szceniętami wystawało pół pieska. Opierał się przednimi łapkami o brzeg kartonu i wył. Nie z rozpaczą, tylko z determinacją i odwagą. Ten mały miał cel i zamierzał go zrealizować.

– Uuuuuuu... Łuuuuuuuu... Uuuułuła-u-u... Uuuułu-ułu... Uuuuuuu... Uuuuuuuułuuuułała...  
Uuuuuuuuu... Uuuuuuuułuuuułała...

I tak przez pięć minut. I ani śladu zniechęcenia.

– AuuUuuuu... Uuułułu... UuuuaaaaauuuuAAAAa... ŁU-uuuułuuuuu... aaaaUUUUuuuuuuuu... auuuuaaaAA... Uu-uuuuuuuUUUuuuuułułu...  
– A to co za piesek? Co mu jest? – spytałam oczarowana. Małżeństwo popatrzyło na siebie porozumiewawczo.

– Ten tam? To Lider. Nic mu nie jest. On tak ma. Naprawdę nic mu się nie dzieje! – odparła dziewczyna, ledwo kryjąc irytację.

– Lider? A czego chce? – zapytałam, uśmiechając się od ucha do ucha. Jego pewność siebie i nieustępliwość zwały mnie z nóg.

– Tak na niego wołamy: Lider. Chce tu przyjść. Teraz będzie tak wył i wył. Proszę się nie przejmować.

– A inne mają imiona?

– Nie, tylko on.

Tylko on! Lider! I jaki charakter! Po prostu MOJA KREW!!!

– A może go pani wyjąć? Chciałabym go zobaczyć.

Małżeństwo znów wymieniło porozumiewawcze spojrzenia.

– Nie, raczej nie. On tu... on... on niech siedzi na balkonie! Nie jest dla państwa. Proszę sobie wybrać innego. Można tam podejść i popatrzeć, ja wyjmę, którego pani pokaże.

Jak to nie dla nas?! Jeszcze się tak nie zdarzyło, żeby coś było nie dla mnie, jeśli tego chciałam. Może ta dziewczyna tego nie wiedziała, ale właśnie on, Lider, był dla mnie!

– Ale może go pani chyba wyciągnąć na chwilę? Chciałam tylko zobaczyć. I proszę mi powiedzieć, dlaczego państwo myślą, że to nie jest pies dla nas?

Kobieta niechętnie wyjęła wciąż wyjącego szczeniaka z kartonu. Wzięty na ręce natychmiast się uspokoił. To było dokładnie to, czego oczekiwał. I dopiął swego! Byłam nim zachwycona.

Właściciele z wahaniem wpuścili szczeniaka do pokoju. W ogóle nie zwrócił na nas uwagi. Żadne cmokanie, gwizdanie i inne dźwięki go nie ruszały. Miał interes do załatwienia i spieszyl się zrobić wszystko, co sobie zaplanował. Wpadł do pokoju z dziecinnym łóżeczkiem i po chwili wypadł stamtąd ze użytą

niemowlącą pieluchą. Pielucha była większa od niego, ale mały, trzymając wysoko głowę, biegał z nią po saloniku, próbując znaleźć miejsce, gdzie będzie mógł się ukryć i ją rozszarpać. I nie dał się schwytać dwójce zażenowanych opiekunów.

W końcu do akcji wkroczyła suka, próbując uspokoić szczenię. Lider nawarczał na matkę i zadekował się z pieluchą pod szafą. Chwilę później ujrzałam wyłaniającego się z kryjówki pieska ze strzępami zasikanej jednorazówki wokół pyska.

Zdobycwca Świata po zabiciu pieluchy ruszał na dalszy podbój. W ciągu paru chwil jego łupem padły kosmetyki z toaletki pani domu, do której dostał się, stając na dwóch łapach i ignorując warczenie matki oraz brata, którego złapał za kark i bezpardonowo przycisnął do ziemi. Na chwilę udało mi się zwrócić jego uwagę. Podbiegł do mnie i obwąchał moje dłonie. Zajrzałam mu w oczy. Zobaczyłam w nich dumę, odwagę, pewność siebie i ten rodzaj charyzmy, która cechuje naturalnych przywódców. To on zakończył kontakt, on, ignorując mnie, odszedł do swoich spraw. Nie dziwiłam się, że dostał imię. I nie dziwiłam się, że takie.

Takie szczenię, naturalny lider, rodzi się raz na wiele miotów. Zawsze będzie dominujący i wymaga szczególnego traktowania. Jeśli jego właścicielem zostanie ktoś o słabej osobowości lub ze zbyt małym doświadczeniem, pies podporządkuje sobie tę osobę i jego wychowanie stanie się niemożliwe. W naturze taki osobnik po osiągnięciu dojrzałości wyzwałby na pojedynek samca alfy. Zabiłby go i sam objąłby przywództwo w stadzie albo zostałby przegnany i zmuszony do stworzenia nowego stada. Osobowość alfa jest uwarunkowana genetycznie. Nie zmieni się nigdy. Taki pies zawsze będzie dążył do dominacji. Wymaga konsekwencji w prowadzeniu i mądrego przywództwa.

Ale w tamtej chwili o tym nie wiedziałam.

– Jestem zdecydowana na tego – oświadczyłam, ignorując zdziwione spojrzenia mojego męża i córki, którzy zdążyli już pokochać pokorniejsze ze szceniąt.

– Tego pani nie sprzedamy. On musi pójść do osoby z doświadczeniem.

– Ale ja mam doświadczenie! – krzyknęłam oburzona. – Przez siedemnaście lat miałam psa!

– Tak? – zapytał z niedowierzaniem pan domu. – A jakiego?

– Pudła... – już kiedy to mówiłam, wiedziałam, że brzmi kiepsko. Mogłam dodać, że tamten pies był wyjątkowy: dumny i pewny siebie, dokładnie jak to szczenię. To przecież właśnie ja wybrałam go spośród braci i siostr, bo zobaczyłam tę iskrę, która błyszczy w oczach wszystkich samców alfa. Spodobało mi się, że jako jedyny wtedy nie spał i domagał się uwagi, mimo że potworny upał prawie ugotował jego rodzeństwo. Mogłabym opowiadać, jak przez całe swoje dzieciństwo codziennie wystawiał na próbę moją inteligencję i pewność siebie. I uczynił mnie tym, kim jestem teraz. Ale uznałam, że nie będę się tłumaczyć. Chcę Lidera i kropka.

Właściciele pokręcili głowami. Na służbowej, poważnie brzmiącej wizytówce, obok takich słów jak „wiceprezes” i „CIO”, napisałam mój prywatny numer komórki.

– Cóż. Podoba nam się Lider i na innego się nie zdecydujemy. Jeśli państwo zmienią zdanie, proszę o telefon.

Podziękowaliśmy i wyszliśmy.

Mój mąż dobrze mnie zna. Wie, że kiedy tak się zachowuję, to mam swoje powody. Moje dziecko też już to o mnie wiedziało. Oboje odezwali się dopiero w samochodzie:

– Ty, ale czemu tak się uparłaś? Ten pierwszy przecież też był fajny... – mąż dał upust zdziwieniu.

– Właśnie. I polizał mnie po rączce! – dodała zmartwiona córka.

– Lider jako jedyny miał imię. To znaczy, że ma najbardziej wyrazistą osobowość. A ja nie chcę psa safandudy, któregoś tam z miotu. Chcę najlepszego. Pierwszego. Najodważniejszego. Poza tym Lider miał dwa razy grubsze łapy niż jego brat. Będzie duży. A nie chcemy psa, który będzie wyglądał jak świnka morska. No i podobało mi się jego zachowanie.



– A co takiego ci się podobało? – zapytał mąż z powątpiewaniem. – Był nieznośny. Nie przychodził na wołanie, nie zwracał na nas uwagi i nawet oni nie mogli sobie dać z nim rady.

– I nawarczał na swoją mamę, i pobił Białaska! – dodała córka, która już najwyraźniej zdążyła nadać imię mniejszemu szczeniaczekowi. – To chuligański pies!

– I właśnie to mi się spodobało – odpowiedziałam z uśmiechem.

Resztę drogi żartowaliśmy sobie z Lidera, wspominając wszystko, co w ciągu naszej krótkiej wizyty udało mu się napsościć. Powoli moja rodzina zaczynała rozumieć, że nietuzinkowa osobowość oznaczała niebanalne życie, a buńczuczny charakter to potencjał dla przygody. I kiedy wysiadaliśmy pod blokiem, cała nasza trójka chciała tego psa. Był tylko jeden problem: jego właściciele nie chcieli nam go sprzedać.

\* \* \*

Następnego dnia pojechaliśmy pod adres, który podali nam właściciele szczeniaków. Chcieliśmy obejrzeć ojca piesków. Zatrzymaliśmy samochód w zamożnej okolicy, wysiedliśmy i podeszliśmy do pięknego ogrodzenia. Kiedy wyciągaliśmy szyje, żeby zajrzeć przez płot, podeszła do nas najdziwniejsza osoba pod słońcem. Miała ładnie ułożone blond włosy, profesjonalny makijaż i drogie kolczyki. Wyglądała jak właścicielka dobrze prosperującej firmy. Ale tylko do szyi. Bo poniżej zauważyliśmy powyciąganą, spraną bluzę dresową, ubłocone spodnie i buty tak brudne, że nie wiadomo było, jaki pierwotnie miały kolor. Jako całość ta postać kompletnie nie miała sensu... I choć bardzo się starałam, nigdzie w tym pięknym ogrodzie nie mogłam wypatrzyć miejsca, gdzie można by było tak się ubłocić.

Dopiero kilka miesięcy później, kiedy wracając ze spaceru z moim alaskańskim malamutem, z zaskoczenia ujrzałam swoje

odbicie w niedomkniętych drzwiach klatki schodowej, zrozumiałam: tak właśnie wyglądają właściciele psów Północy. Ubłocone trapery, spodnie, których nie opłaca się prać po każdym spacerze, bo nie nadążają schnąć, stara bluza, której niestraszne jeżynowe chaszczki i... fryzura z pracy. Oraz resztki służbowego makijażu.

Wyjaśniliśmy cel wizyty. Kobieta powiedziała, że właśnie wróciła z psem ze spaceru i zaraz nam go pokaże. Zawołała go po imieniu – miał na imię Snow. Chwilę później naszym oczom ukazało się najpiękniejsze zwierzę na planecie Ziemia.

Nie pies, a wilk. Wielki samiec, tak dumny i pewny siebie, że intuicyjnie odstępiliśmy dwa kroki od ogrodzenia. Zbliżył się do płotu w milczeniu. Dumnie uniesiony ogon i wysoko trzymana głowa sprawiły, że serce mi stanęło. Miał niespotykane lekkie chód, jakiego nie widziałam u żadnego innego psa, nawet u mniejszych ras. Kiedy się poruszał, wyglądał jak dzikie zwierzę, przyzwyczajone do wolności. Król szerokich równin i obfitych lasów.

– Nie szczeka na obcych? – zapytałam z bezpiecznej odległości.

Pies nie musiał szczekać. Wyglądał jak pan tego miejsca i choć jestem miłośniczką zwierząt, nie podjęłabym się konfrontacji.

– One nie szczekają. Niech się pani nie boi. On nic nie robi.

Nie byłam pewna. W ogóle niczego nie byłam pewna – nawet tego, czy to naprawdę pies... Zadaliśmy kilka pytań o jego zdrowie, zachowanie i charakter i wróciliśmy do samochodu.

– Wyglądał jak wilk – stwierdził mąż, wciąż na wdechu. – Jaki wielki! Chyba nie chcesz takiego wielkiego psa?

– Jak drapieznik! – rozmarzyłam się. Całe dzieciństwo skrycie pragnęłam mieć w domu tygrysa i teraz to marzenie mogło się spełnić!

\* \* \*

Półtora tygodnia później byłam już pogodzona z tym, że psa jednak nie będzie. Mąż, widząc mój smutek, zaczął wydzwaniać do hodowców husky (wciąż uważał, że malamuty są za duże i że lepiej byłoby wziąć o połowę mniejszego syberiaaka), ale kazałam mu przestać. Wy tłumaczyłam, że nie chcę jakiegos psa, ani nawet jakiegos psa rasy północnej. Chcę malamuta, a konkretnie Lidera. Nie jego brata, siostrę czy kuzyna. Nie jemu podobnych. Chcę szczenię, który wyło na balkonie przez pięć minut i było gotowe wyc dalej, do skutku. I jeśli jego właściciele nie zadzwonili, to trudno. Innego psa nie będę szukała.

– To może ty do nich zadzwoń? – zaproponował mąż.

– Nie. Jakby chcieli mi go sprzedać, toby sami się odezwali. Dałam im telefon i wizytówkę. I nie pozostawiłam wątpliwości odnośnie tego, czego chcę. Więc nie zadzwonię. Nie chcę, żeby zaczęli mi wciskać jakiegos innego szczeniaka.

W milczeniu wracaliśmy po pracy do domu. Przez okna samochodu patrzyłam na ludzi z psami. Nagle wszędzie ich było pełno. Wyłapywałam ich bezbłędnie w tłumie przechodniów, spacerowiczów, a nawet w oknach i na balkonach. Jakby mój mózg nagle przestawił się na inną częstotliwość. Ech... szkoda, że to nie ja...

I właśnie wtedy zadzwonił telefon. Serce skoczyło mi do gardła. Zanim spojrzałam na wyświetlacz, wiedziałam, że to właścicielka szczeniaków.

– Dzień dobry. Dzwonię w sprawie psów. Była pani u mnie w zeszłym tygodniu. Z mężem i córką...

– Tak. Pamiętam. Słucham...

– No więc... Chce pani jeszcze tego psa?

– Tak. Ale tylko Lidera.

– A zabierze go pani jeszcze dzisiaj?

– Dzisiaj...? – nawet dla mnie był to dość zaskakujący zwrot akcji... Właśnie jechaliśmy z pracy, głodni i zmęczeni. W planach na wieczór mieliśmy kolację i telewizor, a nie zmianę

całego życia. Dziewczyna jednak tę chwilę namysłu, jedynie co do dnia, nie co do psa, odebrała jako wahanie.

– Sprzedam go pani! – oświadczyła ze słabo ukrywaną desperacją. – Dam nawet sto złotych rabatu. Ale dziś go pani zabiera. Bo ja już z nim nie wytrzymam ani chwili dłużej!

Rabat???!!! Przecież ja byłam gotowa dopłacić!!!

– Dobrze. Możemy dzisiaj...

– Za ile pani będzie?

Ledwo podałam orientacyjny czas, kobieta się rozłączyła. Żebym się nie rozmyśliła.

\* \* \*

– To na pewno on? – zapytał mąż, drapiąc się po głowie. – Wszystkie wyglądają podobnie.

– On, na pewno – właścicielka szceniąt zawiesiła twarde spojrzenie na szczeniaku, który chwilę wcześniej został obudzony, wyjęty z pudła i wpuszczony do mieszkania.

Szczenię miało na karku nieco krótsze włosy. Wyglądało to jak efekt bójk lub korekty – takiego klapsa od psiej mamy. Nie reagoowało na cmokanie. Nie biegało po pokoju tak szybko jak ostatnio, ale przecież było zaspane. Kiedy, ignorując wszystkich włącznie ze swoją matką, stanęło na dwóch łapkach i ściągnęło z toaletki szczotkę do włosów, którą następnie zagryzło na śmierć, byłam pewna, że to Lider.

Zapłaciliśmy, wzięliśmy szczenię i wyszliśmy. Mąż wyglądał na zdziwionego tempem rozwoju wypadków. Ja nie posiadałam się ze szczęścia. Piesek nie był ani odrobinę zmartwiony tym, że ktoś zabrał go od mamy. Z listą zakupów podyktowaną przez właścicieli i szczeniakiem na kolanach pojechaliśmy do sklepu dla zwierząt.